

Instytut Pamięci Narodowej - Gdańsk

<https://gdansk.ipn.gov.pl/pl2/aktualnosci/198769,Krzysztof-Szwagrzyk-Zawsze-powracamy-po-swoich.html>
06.05.2024, 23:08

Krzysztof Szwagrzyk: Zawsze powracamy po swoich

O tradycji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, sukcesach w poszukiwaniach ofiar totalitaryzmów i problemach, na jakie napotykają pracownicy Biura Poszukiwań i Identyfikacji, opowiada pełniący obowiązki jego dyrektora dr hab. Krzysztof Szwagrzyk, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej.

Za nami obchodzony w całym kraju Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Jaka jest geneza tego szczególnego dla Polaków święta?

Po upadku systemu komunistycznego w Polsce przez wiele lat – szczególnie środowiska kombatanckie – uważały, że istnieje taka potrzeba, aby uhonorować tych, którzy w latach 40. i 50. podjęli walkę z tym systemem. Pojawiające się inicjatywy nie nabierały jednak konkretnych kształtów. Zasadnicza zmiana nastąpiła w latach 2008-2009 r., kiedy stworzono dokument będący porozumieniem między różnymi organizacjami kombatanckimi, które zaczęły domagać się, aby 1 marca stał się w Polsce dniem honorującym żołnierzy wyklętych.

Istotną rolę w tym procesie odegrał także Instytut Pamięci Narodowej...

Inicjatywa nie nabrałaby konkretnego kształtu, gdyby nie zaangażowanie prezesa IPN śp. Janusza Kurtyki. W porozumieniu z wiceprezesem miasta Opola Arkadiuszem Karbowskiem podjął się najpierw organizacji dnia pamięci żołnierzy wyklętych na Opolszczyźnie. Następnie skierował propozycję ustanowienia nowego święta do prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Dzięki



Dr hab. Krzysztof Szwagrzyk. Fot. Mikołaj Bujak (IPN)

prezydenckiemu poparciu sprawy potoczyły się wyjątkowo szybko. Już w lutym 2011 r. Sejm RP przyjął ustawę uznającą 1 marca za Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

To stosunkowo młode święto ma już jednak swoje miejsce w polskiej tradycji.

Dzisiaj, po 13 latach od jego ustanowienia, możemy powiedzieć, że stało się ważnym elementem życia publicznego w Polsce. Tego dnia w całym kraju jesteśmy świadkami ogromnej liczby różnych inicjatyw, mających na celu upamiętnienie żołnierzy wyklętych. Wyjątkowość Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych polega też na tym, że choć główną rolę w jego organizacji podejmuje państwo, to na wyjątkowo dużą skalę spotykają się tutaj inicjatywy państwowe z tymi oddolnymi, powstającymi na poziomie miejscowości czy gminy.

Przywracanie pamięci o żołnierzach wyklętych jest także misją Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, na którego czele Pan stoi.

Po upadku systemu komunistycznego w Polsce nie tylko kombatanci i ich rodziny czy rodziny zabitych i represjonowanych, którzy przeszli przez wielki system komunistycznych więzień i obozów, mieli przekonanie, że nadszedł czas, aby rozliczyć ludzi, którzy ten system komunistyczny tworzyli i w jego ramach dopuszczali się zbrodni. Uważano, że teraz Polska upomni się o tych, którzy w walce z komunizmem stracili życie. Tak się jednak od razu nie stało. Gdybyśmy się chcieli zastanowić nad tym dlaczego, musielibyśmy poświęcić na to osobną rozmowę.

Kiedy zatem rozpoczęła się walka o przywracanie Wyklętych na karty historii Polski?

Pierwsze instytucjonalne działania zmierzające do tego, aby odnaleźć szczątki tych, po których nie miał pozostać żaden ślad, zostały podjęte w 2003 r. we wrocławskim oddziale IPN. Ta inicjatywa początkowo miała niewielki zasięg – ograniczała się do Dolnego Śląska, potem Opolszczyzny. Tworzyła ją grupa kilku osób, które, tak jak ja, miały przekonanie, że trzeba doprowadzić do zgromadzenia w zespole ludzi z różnych dziedzin wiedzy, którzy będą działali na rzecz ostatecznego celu, jakim jest odnalezienie ofiar. Tylko współpraca archiwistów, archeologów, historyków, medyków, medyków sądowych, genetyków daje szansę na pozytywny efekt. W takiej formule zaczęło to działać jednak dopiero w 2011 r. Właśnie wtedy rozpoczęliśmy największe prace poszukiwawcze i ekshumacyjne na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu, podczas których odnaleźliśmy szczątki 299 ludzi zmarłych, straconych w aresztach wrocławskich w latach 40. i 50. Niedługo później powstał samodzielny wydział poszukiwań.

Czy właśnie to wydarzenie możemy uznać za przełom w procesie poszukiwania tych, po których nie miał pozostać żaden ślad?

Tak naprawdę przełomem w naszych działaniach była dopiero decyzja parlamentu z 2016 r., zmieniająca Ustawę o IPN. Stworzyła ona nowe struktury, w tym Biuro Poszukiwań i Identyfikacji. Wtedy właśnie Instytutowi powierzono odnalezienie szczątków Polaków, którzy zginęli, zostali zamordowani w latach 1917-1990. Nie tylko ich odnalezienie, ale też identyfikację. Była to zmiana, na którą czekaliśmy lata. Mając za sobą konkretne decyzje państwa polskiego i możliwości do ich realizacji, mając środki finansowe, techniczne, zespół ludzki mogliśmy realizować powierzone nam zadania. Dziś w Biurze zatrudnionych jest ponad 70 osób. Pracują w centrali, ale też w każdym z oddziałów. Ta struktura wynika z tego, że znając naszą historię, wiemy, że takich działań nie da się prowadzić tylko z perspektywy Warszawy.

Jak wygląda bilans pracy Biura po 20 latach od rozpoczęcia pierwszych poszukiwań?

Dzisiaj możemy z dumą powiedzieć, że przez te 20 lat przeprowadziliśmy prace w blisko 500 miejscach w Polsce i poza granicami. Odnaleźliśmy szczątki ponad 2200 osób, blisko 260 z nich zostało zidentyfikowanych. Na konferencjach identyfikacyjnych, które odbywają się raz lub dwa razy w roku, mogliśmy wręczyć rodzinom dokumenty stwierdzające, że ich bliscy zostali odnalezieni i zidentyfikowani. Tylko w 2023 r. podczas dwóch konferencji w Belwederze noty identyfikacyjne zostały wręczone 40 osobom.

To musi wywoływać silne emocje...

Rodziny ofiar czekały na tę chwilę kilkadziesiąt lat. Przez ten czas toczyła się walka o to, żeby osiąść informacje, gdzie są ich najbliżsi. W tej walce byli skazani na porażkę, bo w systemie komunistycznym samo pytanie o ofiary było traktowane jako atak na system. Trudno się dziwić ich silnemu wzruszeniu, kiedy po tylu latach wreszcie nadchodzi sprawiedliwość. Bez względu na wiek czy płeć osób, wręczaniu not identyfikacyjnych zawsze towarzyszą ogromne emocje. Proszę pamiętać, że rodziny ofiar zostały skrzywdzone podwójnie. Ich najbliższych zamordowano, to jest jedna tragedia. Ale była też druga – pozbawiono tych ludzi prawa do informacji, gdzie ukryto zwłoki ich najbliższych. Władza komunistyczna doskonale wiedziała, że gdyby te informacje były jawne, w takich miejscach składano by kwiaty, zapalano znicze, oddawano honory ofiarom. To przewija się także w niektórych dokumentach aparatu represji z okresu stalinizmu. Jak w nich często zapisywano, nie można było dopuścić do sytuacji, w której społeczeństwo nie uznaje za bohaterów przedstawicieli władzy, a ich ofiary.

Czy dzisiaj, po przeszło 30 latach od upadku systemu komunistycznego, zrozumienie dla działań prowadzonych przez Biuro jest w społeczeństwie powszechne?

Problemów, z którymi mierzymy się, wykonując naszą pracę, zawsze było dużo. Jedne z

nich mają naturę urzędniczą, wynikają z przepisów, które nie ułatwiają nam pracy, np. przy podejrzeniu o pogrzebaniu szczątków żołnierzy wyklętych na cmentarzu pod współczesnymi grobami. Potrzeba wtedy ogromnie dużo wysiłku, aby uzyskać wszystkie niezbędne zgody administracyjne. Musimy wykonać wiele działań prawnych, dopełnić masy formalności, żeby móc wykonać – trwające przecież krótko – prace ekshumacyjne. Zdarza się, że natrafiamy na opór, którego nie możemy przełamać. Z niektórymi ludźmi prowadzimy rozmowy od lat i żadne argumenty nie są w stanie ich przekonać, a bez zgody dysponentów obecnych grobów nie możemy nic zrobić. Na szczęście takie sytuacje są rzadkością, a znacznie częściej spotykamy się ze zrozumieniem dla celowości naszych działań.

Jak to jednak w ogóle możliwe, że szczątki których poszukujemy znalazły się pod współczesnymi grobami?

Szczałki, o których mówimy, nie znalazły się głębiej przypadkiem. Komuniści od początku zabijali ludzi i zacierali ślady po swoich zbrodniach. Taka była ich metoda na doprowadzenie do tego, żeby ci, którzy przeciwko nim występowali, zginęli fizycznie, ale też żeby nie pozostał po nich żaden ślad. Poprzez masową propagandę próbowali doprowadzić do tego, żeby społeczeństwo uwierzyło, że ci, którzy ginęli, byli bandytami, przestępcami, od których należy się odwrócić. Niestety możemy powiedzieć, że jeszcze dzisiaj jesteśmy świadkami tego, jak silny był to system propagandy. Po ponad 30 latach od upadku systemu komunistycznego nadal są ludzie, środki, media, które w informacjach własnych przekazują tak naprawdę cytaty z akt oskarżeń czy wyroków zapadłych przed trybunałami wojskowymi w okresie stalinizmu.

Jeden z przykładów tego, jak komunistyczny system zacierał ślady po swoich zbrodniach, odnaleźliście na warszawskim Cmentarzu Powązkowskim...

Musimy się cofnąć do roku 1982, kiedy podjęto decyzję o stworzeniu kwatery osób zasłużonych dla władzy komunistycznej, posiadających stopień wojskowy od majora w górę. Miejsce wyboru kwatery nie było przypadkowe. Umieszczono ją tam, gdzie przez lata grzebano szczątki ofiar stalinizmu. Dla ówczesnej władzy miał to być dowód, że w tym miejscu nikt nigdy już nikogo nie odnajdzie, bo przecież kto miałby mieć prawo, by szukać pod grobami ludzi zasłużonych dla systemu komunistycznego. Z ich punktu widzenia wydawałoby się, że problem żołnierzy wyklętych i ofiar systemu komunistycznego będzie raz na zawsze rozwiązany. Bardzo drastycznie, ale też bardzo prawdziwie, można powiedzieć, że decydom z lat 80. szczątki polskich bohaterów posłużyły jako wypełnisko dla grobów zasłużonych dla systemu komunistycznego. Na szczęście nikt nie wpadł wówczas na pomysł, by ziemię wraz z tymi szczątkami wywozić w inne miejsce. Wtedy bylibyśmy bezradni.

Powązkowska Łączka to bardzo szczególne miejsce w historii poszukiwań ofiar

stalinizmu...

Kiedy przyjechaliśmy na Łączkę w 2011 r., stojąc w przestrzeni zupełnie nieznaną, co do której mieliśmy jedynie tylko pewne typowania, gdyby ktoś powiedział, że odnajdziemy tam tylko 10 osób, to powiedzielibyśmy: „Tak, trzeba to robić”. Dzisiaj po wielu latach, gdy ciągle nie słychać o tym, że odnaleźliśmy tych najważniejszych, jak rotmistrz Witold Pilecki, pułkownik Łukasz Ciepliński, generał August Emil Fieldorf, to ja proszę, żebyśmy popatrzyli na to, co udało się zrobić przez 3 etapy działań w tym miejscu w latach 2012, 2013 i 2017.

Co zatem przez te lata udało nam się zrobić na Łączce?

Odnaleźliśmy szczątki ponad 200 ludzi, którzy zostali straceni w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie w latach 1948-56. Wśród nich wielu udało się już zidentyfikować, w tym tak legendarne postaci jak major Hieronim Dekutowski „Zapora” – słynny cichociemny, major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko” i pułkownik Antoni Olechnowicz, jego dowódca. Także inny cichociemny, major Bolesław Kontrym „Żmudzin” czy ostatni dowódca Narodowych Sił Zbrojnych pułkownik Stanisław Kasznica, stracony w maju 1948 roku. Odnaleźliśmy także zamordowanych w latach 50. komandorów Stanisława Mieszkowskiego, Jerzego Staniewicza i Zbigniewa Przybyszewskiego.

A jak dzisiaj wyglądają szanse na odnalezienie bohaterów, którzy jak generał Fieldorf „Nil” czy rotmistrz Pilecki najmocniej przebili się do zbiorowej świadomości Polaków?

Nie mam wątpliwości, że ich szczątki zostały już przez nas odnalezione na Łączce i w tej chwili czekają tylko na identyfikację. Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie – szczątki ponad 200 osób zostały przez nas odnalezione w układzie anatomicznym. Ale odnaleźliśmy także ogromne ilości fragmentów szczątków ludzkich, które są bardzo zniszczone. Wierzę, że przyjdzie taki czas, że osoby, o które najczęściej jesteśmy pytani tu w Polsce, jak i poza granicami, jak Rotmistrz czy Generał, zostaną zidentyfikowane. Ciągle też nie mogę się przekonać do twierdzeń, że Pileckiego i Fieldorfa na pewno na Łączce nie ma. Takie myślenie jest ahistoryczne. Łączka była miejscem wyznaczonym specjalnie, by grzebać tam ofiary. Miejscem pod cmentarnym murem, pilnowanym przez funkcjonariuszy UB, a potem SB, do którego nikt nie miał dostępu. Odnaleźliśmy tam wspomnianych pułkownika Kasznicę czy majora Szendzielarza, którzy dla ówczesnej władzy nie byli z pewnością mniej ważnymi wrogami niż rotmistrz Pilecki, którego wielkość znamy bardziej z dzisiejszej perspektywy. Jest tylko kwestią czasu, kiedy nastąpi dzień, w którym ogłosimy identyfikację szczątków Rotmistrza i generała Fieldorfa.

Jak wyglądają plany Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN na najbliższy rok?

W każdym roku docieramy do kilkudziesięciu miejsc w kraju i poza granicami. W tym roku ponad 50 miejsc w Polsce i na Litwie znajduje się w naszych planach do przebadania. Do niektórych z nich, jak lubelskie Górki Czechowskie, więzienie Toledo na warszawskiej Pradze, dawne więzienie NKWD w Rembertowie czy rzeszowski cmentarz Pobitno, wracamy

kolejny raz. W lasach Pałędzko-Zakrzewskich pod Poznaniem i w podwarszawskich Palmirach będziemy szukać ofiar zbrodni niemieckich z lat 40. Na mapie naszych działań są też miejsca nowe, jak ogrody sejmowe w Warszawie. Tam Niemcy rozpoczęli swoje zbrodnicze dzieło już w 1939 r. i miejsce to wykorzystywali je aż do Powstania Warszawskiego. Jesteśmy pewni, że ciągle są tam szczątki pomordowanych Polaków. Wciąż nie możemy prowadzić poszukiwań na Ukrainie, ale nie zapominamy o ofiarach zbrodni UPA z 1944 roku. Działania, które rozpoczynamy na wiosnę, przygotowujemy przez długi czas. Gromadzimy dokumenty, analizujemy materiały archiwalne, typujemy miejsca, prowadzimy wizje lokalne, a potem wszystko i tak weryfikuje ziemia. Nawet jeśli nic nie znajdziemy, nie oznacza to, że mówimy: „Koniec, tam już pracować nie będziemy”. Zawsze powracamy do skutku, aż odnajdziemy tych, po których mamy, musimy i chcemy powracać. Powracamy po swoich.

Rozmawiał Michał Kowalski
Biuro Prezesa
Instytutu Pamięi Narodowej